№ 47.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1840. Poznań, dnia 25. Listopada.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi raz na tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 4, na ćwierć roku talarów 2, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Narzeczona Bannity (Wygnańca).

(Z włoskiego.)

Około połowy przeszłego wieku nie było jeszcze wielkiéj drogi z Ajaccio do Bastja, nad którą od dwudziestu lat pracują, a zaledwie w drugiéj ćwiartce wieku dokończą. Dróżka, po któréj z trudnością dwa muły obok siebie iść mogły, prowadziła z Ajaccio do Bogognano, wielkiéj i pięknéj wsi, położonéj u stoku łańcucha gór, przerzynających środek Korsyki jak długie, stérczące ości. Ztamtąd piéła się ścieszka na grzbiet góry, od spodu małego ale warownego zamku Vizzavona, środkiem boru tegoż nazwiska i dochodziła w niższéj dolinie do drogi z Corte, — na jéj widok, sądziłbyś, że ją raczéj muffoli (dzikie owce) niż ludzie wydeptały. Zamiast pięknego mostu z jednego tylko teraz sklepienia granitowego utworzonego i z wielką rzuconego śmiałością przez bystry potok Vivario, był tam natenczas wązki most z ławin chwiejących się pod nogami przechodniów; w tych twardych i nieszczęsnych czasach, wśród kraju wojną spustoszonego, taka była trudność łączności, że rzadcy podróżni, którzy tą drogą iść się odważyli, nie puszczali się inaczéj, jak w liczne zgromadzeni tłumy i uzbrojeni od stóp do głów, czyli jak Włoch mówi, aż do zębów. Obawa przed Genueńczykami, a srőższą jeszcze od nich osobistą zemstą, zamieniała tę ostrożność w prawo.

Jedyna rzecz przecież nie zmieniła się przez połowę tego wieku, który widział tyle mocarstw skruszonych; to owa natura tak dzika wówczas jak dzisiaj, a zawsze piękna prostą swą wspaniałością, zawsze strojna swą przyrodzoną barwą; to ów bór de Vizzavona nietknięty tak jak wówczas, dziewiczy jeszcze dzisiaj, na wysokości sześciu tysięcy stóp, wznoszący się szerokiemi piętrami przez ten potrójny amfiteatr gór, którego szczyt zajmuje Monte d'Oro; — są to głębokie jary zieloności zawsze poruszane, zawsze szemrzące na powiew wiecznego wiatru, który na tych szczytach panuje; są to te same buki i więzy olbrzymie, których pnie mchem obrosłe, a porzucone wichrem na strumienie, podróżnym za mosty służą; są to te same kasztany węzłowate i krępe, których pnia siedmiu ludzi rękoma nie obejmie, a nadewszystko król drzew w Europie, modrzew, owa palma północy, który się czasem do stu czterdziestu stóp wysokości wznosi. Widząc ten pień prosty jak maszt okrętu z piętrami gałęzi, z których najniższe same przez się opadają, jak gdyby wierzchołek lepiéj odsłonić chciały; gdy ich ostrosłup nieporuszony przestaje na chwilę kołysać się w powietrzu, rzekłbyś, że to są olbrzymie kolumny obszernéj świątyni, któréj sklepienie runęło; — a potém, kiedy wicher na chwilę uśmierzony znowu wszystkie liście i gałęzie do siebie przybliży, wszystkie szméry zmiesza i rozwinie całą tę śmiałą architekturę kaprysu, nad którą przez chwilę zabawiła się ręka architekta wiekuistego, kiedy przez szczelinę przypadkowy promień słońca zanurzy się w te powikłane massy i wszystkie ich oświeci głębiny; gdy głos jękliwy i głucha harmonia wychodzi z tego labiryntu drzew i roślin zamarła i żyjąca razem; natenczas rodzą się wrażenia nie do pojęcia i zjawiska nie do opisania. Świątynia, kolumny, bór, wszystko co tylko oko podróżnego marzyło, zdaje się kołysać pod pierwszemi bałwanami trzę-

sienia ziemi. Drugi bór kołysze się w powietrzu nad wierzchołkami modrzewiów pierwszego, słaniając się i wzbijając jak maszt okrętu podczas nawałnicy; a podróżny, co koło ich pniów przechodzi, o sto kroków od burzy, zasłoniony jak tarczą ich gęstwiną, okryty ich cieniem, dziwi się swemu bezpieczeństwu i czuje tę spokojność jako jednę sprzeczność więcéj śród tych wstrząśnień przyrodzenia.

Kilka chat składało małą wioszczynę Moreto, prawie na połowie drogi z Vizzavona do Vivario, na wschodnim stoku góry. Nie zostało z niéj dzisiaj nic więcéj, jak tylko jeden dom pusty; inne zniknęły pewno śród pożog wojny, bo Korsyka jak wszystkie kraje dawno podbite, ma ruiny z wszystkich wieków. Możnaby całą jéj historyą kreślić samemi krwawemi datami, które na niéj nieszczęścia wyryły. Dom trochę wspanialszy nad inne, to jest pobielony wapnem i o dwóch piętrach, odznaczał się pomiędzy niskiemi wioski chałupami. Należał do familii dei possidenti (posiedzicieli) w dobrém dawniéj mieniu, ale których vendetta (zemsta, prawo odwetu) trzydziestoletnia do tego stanu niedostatku źle ukrywanego przywiodła, trudniejszego nieraz do zniesienia niż prawdziwe ubóstwo. Ojciec téj familii i dwóch jego synów (maschi) zginęli pod razami nieprzyjaznéj familii. Dwa razy sady ich kasztanowe wycięto, kozy pozarzynano i ogień w polu śród jęczmienia założono. Lecz ostatni członek téj familii, sam tylko, który ją przeżył wraz z jedną siostrą, wszystkim tym nieszczęściom tę jednę mógł stawić pociechę, więcéj niż dostateczną, iż był pomszczony, zupełnie pomszczony! — Własną ręką i bronią zamordowanego ojca zabił ojca familii nieprzyjaznéj, mordercę swego ojca. Własną ręką założył ogień w ich domu, o kilka mil ztamtąd odległym, i widział ostatnie z niego walące się szczątki. Ostatni z téj familii wraz z synem, dzieckiem jeszcze będącym, musiał opuścić ojczyste siedlisko, aby schronić się przed nieubłaganym nieprzyjacielem, lecz ten go ścigał; przez całe trzy lata tropił ślad jego z siedliska do siedliska, z schronienia do schronienia, z pieczary do pieczary, zamieniając z nim od czasu do czasu kilka strzałów. Nareszcie w sam pierwszy dzień Wielkiéjnocy, jak gdyby uświęcić chciał tę rocznicę zemsty, dosięgnął go nie z daleka, nie ukryty za krzewem jak zbójca wypuszczający kulę na wiatr, zostawując jéj staranie pomszczenia go, ale wśród jasnego dnia przy wnijściu do wsi utopił po trzy razy sztylet swój w piersiach mordercy swego ojca, powtarzając mu trzy razy grzmiącym głosem: »to ja, to twój przyjaciel, Nicolo Ghisoni cię zabija!« — Od dnia tego Ghisoni żył spokojnie Sumnienie jego było zadowolone; dopełnił obowiązku jako syn i jako Korsykanin; — wymiótł z całéj ziemi ród swych nieprzyjaciół; ostatni, który był w stanie nosić broń, upadł pod jego razami. — Jeden przeżył wprawdzie zemstę jego; — ale było to tylko dziecko, które jeszcze rozróżnić nie umiało, gdzie w lewo i w prawo. — Wzgardził nim i nie zabił; a potém od dziesięciu lat nie było nic o nim słychać.

Nicolo Ghisoni zaś żył w zaciszu z siostrą młodszą od siebie, którą kochał tak, jak dusza podobnego usposobienia kochać może. — Po swojéj broni i koszuli skrwawionéj po zabitym ojcu, była to istota na świecie, do któréj najbardziéj był przywiązany, ale nie dał to poznać. Przywiązanie jego miało coś surowego, zamiast przyciągać — odpychało. Jedynie zatrudniony starunkiem, tak drogim Korsykaninowi, podniesienia swojego domu, dopiął prawie swego celu przez siedm lat oszczędności i pracą nieustanną, rzadką w tym kraju. Winnice jego były nanowo zasadzone, bydło zakupione, dom ojcowski o piętro podniesiony. Już nawet wymawiano nazwisko Ghisoni z sekretnym przydatkiem »bogaty.« Nicolo w głębi duszy nie gniewał się o to, ale twarz jego nigdy tego nie wyjawiła. Suknia narodowa górala, — czapka śpiczasta, kurpie z koziéj skóry składały jego ubiór, a na swéj ławie w kościele w Vivario zostawiał próżne miejsce, gdzie ojciec siadywał.

Smutne to było życie dla młodéj i wesołéj dziewczyny z oczami błyszczącemi przenikliwością i życiem, tak żwawéj i smukłéj jak muffolo jéj góry; — ten wieczny pobyt sam na sam z posępną twarzą Nicola i z jego sztućcem, tak długim i tak strasznym jak on. Jéj pracowite zabiegi gospodarskie, które lenistwo albo pycha Korsykanina na pokorną towarzyszkę zwykła zdawać, zatrudniały wprawdzie młodą dziewczynę przez część dnia; czytanie atoli różnych książek zapełniało drugą; bo jéj brat uczeńszy niż to zwykle pod burką z koziéj skóry bywa, nie zostawiał jéj bez książek, ni bez nauki; ale wieczory były bardzo długie, gdy w pięknéj porze roku dziewczyny wioski stroiły sobie swe brunatne włosy białym mezzaro (woalem) i szły przypatrywać się pasterzom z okolicy grającym lub strzelającym do celu pod sosnami góry. Naczelnik małego klanu, który się koło niego zgromadził, Nicolo, miał za wysokie wyobrażenie o swéj godności, iżby mógł siostrze pozwolić znieważać siebie mieszaniem się do gier i zabaw. Biedna dziewczyna dzieliła więc wszystkie niedogodności wy-

sokiego stanu, nie mając żadnych jego zabaw. Prawie zawsze zamknięta w swojéj prostéj chatce (przedmiot zazdrości tych dwunożnych zwierząt, którzy około niéj chronili się do swych jam), w całym tygodniu nie było dla niéj więcéj nad jeden dzień szczęścia, to jest niedzielę. W towarzystwie brata, częściéj staréj krewnéj, którą brat w domu cierpiał jak cierpią starego służącego, któremu zasług nie płacą, chodziła do Vivario słuchać mszy ś. w kościele. Tam w długiéj przestrzeni, która dzieli te dwie wsi, biedna Angiolina czuła się szczęśliwszą niż kiedykolwiek, nie wiedząc sama przyczyny; a to dla tego, że się czuła wolną. Duszące powietrze chaty nie ciążyło jéj; twarz surowa strasznego jéj brata i pana nie znajdowała się przy niéj, by powściągnąć wszystkie naiwne wylania się duszy niewinnéj. Jakkolwiek szczerą chęć miała go kochać, nie śmiała się przyznać, że była szczęśliwą, gdy mu z oczu zeszła; a przytrafiając się to raz tylko w tydzień, brdysała sobie jak młody koziełek na łące. Czasem nawet, kiedy była bardzo pewna, że jéj nikt nie słyszy, wesoła piosneczka brzmiała na jéj usteczkach. Ta wesołość młodéj dziewczyny zawsze przytłumiana, objawiała się dopiero całkowicie na jéj twarzy, w jéj chodzie, w całém istnieniu; czarne jéj oczy zwykle w ziemię spuszczone, podnosiły się błyszcząc żarem młodości i roskosznéj swawoli; ten charakter zawsze stłumiany, całém oddychał ciałem. Wtenczas, wtenczas Angiolina prawdziwie piękną była. Wyraz téj lękliwéj podległości, który cięży jednostajnie na twarzach wszystkich kobiet Korsyki, zniknął z jéj twarzy. Bojaźń, wpojona tym biednym istotom przez lepszą płeć, del miglior sesso, ustąpiła miejsca słodszym wrażeniom; i Ghisoni, sam surowy Ghisoni zdawał się mięknąć na widok twarzy młodéj i uśmiechającéj się siostry, która tak sprzeczna była z posępną, zamyśloną twarzą jego, jak powój młody, który obwija się około pnia umszonego staréj sosny.

W piękną niedzielę kwietniową młoda dziewczyna wracała bez brata z kościoła de Vivario w towarzystwie staréj swéj krewnéj. Szczęśliwa z swéj wolności, z tego dnia pięknego, z jasnego nieba, z téj przyrody zieleniejącéj się i świeżéj jak ona, spoglądała z zadowoleniem dziecinném na te zaczątki wiosny, zawsze późne na tych wyniosłych płaszczyznach. Znudzona ścieszką i powolnym krokiem staréj Nu (Nucyi), opuszczała ją co chwila, to aby szukać cienia pod rozsochatemi bzami, to aby zrywać białawe i krągłe kwiaty ciemierzycy, albo łodygi wyniosłe i wysokie złotogłowiu, po chwili wracała skacząc około ponuréj matrony, przemawiała do niéj słów kilka, z których stara śmiała się, nie rozumiejąc ich nawet: i znów puszczała się na wycieczki rozpustne, nie troszcząc się ani o słońce, ani o godzinę, ani o udeptaną ścieszkę.

Przy skręcie drogi ładny wąż, z rodzaju nieszkodliwych, z którémi korsykańskie dzieci się bawią, zwrócił na siebie baczność Angioliny; — ścigała go bez namysłu przypatrując się temu ciału smukłemu i giętkiemu, ślizgającemu się po murawie, jak krąg procarza, który przerzyna bałwany. Wąż ścigany schronił się w gęstą zarośl, a Angiolina, która się nikogo na świecie nie lękała prócz swego brata, pobiegła za nim bez żadnéj obawy. W tém krzyk przeraźliwy, pochodzący z zarośla, zwrócił głowę staréj Nu w ową stronę. Angiolina blada jak mara, z przestrachem biegła ku niéj, wyciągając ręce, jakby błagała pomocy. Oczy błyszczące, nieporuszone, wśród zarośli, nabawiły ją tego przestrachu, i Nucya przeraziła się widokiem młodego górala, uzbrojonego a ż do z ę b ó w, wybiegającego z krzewiny. Był to ostatni potomek owego rodu nieprzyjaznego, który Ghisoni wytępił; — był on tém samém dzieckiem, nierozważnie oszczędzoném, ową młodą żmiją, któréj zaniedbał rozgnieść w swém gniaździe. Po uderzającém podobieństwie do ojca zamordowanego, którego Nucya znała, nie wątpiła na chwilę; a wreszcie wąż, chroniący się do zarośli, dowodził tego najlepiéj kobiecie przesądnéj i łatwowiernéj.

Krzyk przerażenia skonał na ustach staréj Nu. Bez przytomności wyciągnęła ręce ku swéj towarzyszce; ta biegła, by się w nie rzucić, w tém gałąź ciernia przytrzymała jéj suknią, — upadła. Góral jednym rzutem już był przy niéj. — Staréj Nu zaćmiło się w oczach; rozumiejąc, że młoda dziewczyna nie żyje, porwała się nagle i poczęła co tchu uciekać, wydając krzyk przeraźliwy, który echa gór powtórzyły. W przeciągu kilku minut już zniknęła z oczu; nikt zresztą jéj nie ścigał.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Potęga muzyki.

(Ciąg dalszy.)

Lecz nietylko sam człowiek, że wyższém uczuciem obdarzony, ulega wpływowi muzyki; nietylko on jeden, skoro ucho brzmienia tonów zachwyta, duszą jakby przez siłę magnesu do nich bywa przyciągany, nietylko on sam się rozrzewnia, rozrada; muzyka i na zwierzęta silnie potęgą tonów działa.

Koń, ten towarzysz wojny człowieka, i dla tego wojennych przymiotów, czuły, szlachetny, ognisty, gdy mu rozgłośne trąbki w takt marszem zagrają, wraz uchem zastrzyże, blaskiem płomiennym oka pobłyśnie, dumnie i raźnie łbem potrząśnie. A jako rozjaśniło się i spyszniało jeźdźców oblicze, i w zmęczone długim pochodem ciało nowa siła wstąpiła, tak i koń spysznial postawą i ruchem, zraźniał, jakbyś go dopiero ze stajni wyprowadził. — Wielbłąd o dwu garbach, obładowany towarami, i lama peruańska jeleniéj postawy, używana do noszenia ciężarów, ochoczo przebywają puszcze i dalekie drogi, kiedy im surmaki na piszczałce przygrywają. Nie trzeba je wtenczas napędzać, same sporo idą, choćby już zmęczone. — Gdy się głos trąbki myśliwskiéj rozlegnie po kniei, postawa zwierz płochy i słucha, jeleń do ziemi przylegnie i uchem łowi echo rozgłośne. — Przeżuwa w spokoju bydełko w oborze; jedno pokładzione z nocy jeszcze odpoczywa, drugie już powstało i stoi u żłobu; w tém po wsi pastuch na rogu przeciągle zatrąbi. Jak w obozie na pobudkę, robi się ruch po oborach; bydło powstawa i rwie się niespokojne na więzi, niecierpliwe, aby je spuścić czémprędzéj. Grają pastuszkowie na fujarach, brzmią śpiewy chłopcząt w powietrzu, a trzody bydła, kóz i owiec rozeszły się po zielonych błoniach, pobrzękują metalowemi dzwonkami, i pasąc się słuchają z upodobaniem tego brzęku, tych śpiewów, téj muzyki, i bez naganki idą, gdzie pasterze wiodą, bo idą za głosem tonów. Już się do sytu wszystko najadło, polega gromadnie bydło i owce, tu i owdzie tylko kilka przebiega i trawkę podrywa; słońce już zaszło i ciemno-purpurowy blask wieczora oblał pogodne niebo; zadmą chłopcy w fujary, ku domowi się mają, i zrywa się za nimi wszystko, odłącza swoje do swojego, i wraca swobodnie i bekiem i rykiem cieszy się wieczerzy i domowi, jak pastuch się cieszy, co tę pociechę, to zadowolenie duszy, to szczęście wewnętrzne, na fujarze wygrywa.

Tak ptastwo świegotliwe po klatkach wrzaskliwie świegoce, i jakby śpiewem swoim się współubiega, gdy mu na instrumencie jakim zagrasz; tak ryby, szczupaki i karpie mianowicie, na brzęk dzwonka u stawu zbiegają się; tak wreszcie chłopek na wsi, gdy mu się pszczoły wyroją, dzwoni im, aby je tym dźwiękiem przynęcił. Pies wyje, gdy muzykę słyszy, węże z kryjówek swoich wychodzą. Gazeta muzykalna Lipska (rok 8. No. 26.) donosiła o szczególném usposobieniu muzykalném psa jednego. Stósownie z jakiego mu tonu sztukę jaką grano, doznawał to mniejszego, to większego ztąd wpływu. Mianowicie A-dur najwięcéj go robiło niespokojnym; kiedy mu zaś z przeciwnego zagrano tonu (E-dur), wył przeraźliwie, skumlał i rzucał się. Bawiono się za długo tém doświadczeniem, bo w końcu wściekłość go ogarnęła, i w najokropniejszych kurczach skonał. W Indyach pozbywają się żmii szkodliwych za pomocą muzyki. Są ludzie, którzy z tego żyją: chodzą po wsiach i miastach, i grając na flecie wywabiają z kryjówek jadowite gady. Podróżny Chardin opowiada, że się żmije na głos fletu nadymają, połową ciała pną się i podnoszą w górę, a drugą połową od ogona wirowe robią zakręty, jakby taniec do taktu; łby ich zwyczajnie okrągłe i podługowate, rozpłaszczają się zupełnie. W chwili, kiedy muzyka grać przestaje, wpada żmija w osłabienie, i zostaje chwil kilka bez władzy. Wtenczas to chwytają je w kosze i wynoszą. Jest to zbyt jadowity gatunek żmii, któréj ukąszenie zwykle bywa śmiertelne; nazywa się Capra de Capello albo coluber naja.

Kiedy taka jest potęga muzyki, możnaby się jeszcze zapytać, jaki jest jéj użytek. Pod dwojakim tu rozważymy ją względem: pod względem pedagogicznym i medycznym, uważając muzykę jako środek naszego ukształcenia, i jako środek lekarski.

Co nami w takiéj sile włada, jak muzyka, to musi być koniecznym naszego ukształcenia środkiem; a że nie do przekonania, nie do rozumu naszego melodya przemawia, ale z uczuć płynie i na uczucia wyłącznie działa, więc nie umysłowa, ale moralna strona człowieka będzie przedmiotem muzykalnego ukształcenia. Po prawdzie powiedział dla tego Plato: »muzyka jest drugą połową każdego wychowania, bo ona ukształca duszę człowieka.« Zwierzęcość natury naszéj, a ztąd dzikość i surowość obyczajów ociera się z nas od pierwszych zaraz lat dziecinnych przez wpływ oświaty rodziców, i wyższego towarzyskiego pożycia. W pierwotnym atoli stanie ludów, muzyka najwięcéj i jedynie dzikość owę łagodziła. Orfeusz przy odgłosie muzyki, jak powieść mitologiczna niesie, wyprowadził ludzi z lasów, a kamienie na głos lutni jego zbierały się w sioła i grody. Tak poskramiała muzyka dzicz i barbarzyństwo, a godziła uczucia, i jednała ludzi w towarzystwa.

Ale i dziś jeszcze, mimo wysokiéj oświaty narodów, tak obyczaje ludu, jak obyczaje ukształcającéj się młodzi, ogładzają się najwidoczniéj wpływem muzyki. Najbłędliwsze jest mniemanie, by muzyka służyła tylko ku zabawie. Jako nauka jest potrzebą i posiłkiem umysłu, tak muzyka jest potrzebą i ambrozyą serca. Ona w niém burzę na-

miętności hamuje, cierpienia osładza, surowość łagodzi, daje mu uczuć wyższość i szlachetność natury ludzkiéj. Wszystko co jest, świat wszystek jest harmonią, ale harmonią niedosłyszaną, harmonią formy. Téj harmonii żywym, pojętnym dla duszy wyrazem jest muzyka. Dla tego ilekroć w duszy naszéj disharmonie powstają, a bywa tego dość często, ilekroć człowiek z sobą i ze światem w niezgodzie, tyle razy muzyka lejąc harmonijne tony w duszę jego, godzi w niéj owe moralne dissonanse i koi i rozwesela człowieka.

Pod tym względem najważniejszą korzyścią z muzyki na ukształcenie nasze jest obudzenie w nas estetycznego uczucia. Przywykli do harmonii tonów, szukamy harmonii w całym świecie, we wszystkich nieprzeliczonych tworach natury, na ziemi i na niebie, w sprawach ludzkich, i w dziełach rąk ludzkich; muzyka daje instynktowe zasmakowanie w sztukach pięknych. Ona ludy początkowe powiodła do pięknych rozmiarów w przestrzeni, czyli do symetryi, i powstała sztuka budownicza, o któréj ktoś trafnie powiedział, że to jest muzyka stężona na głaz. Tak muzyka wiedzie i młodziana za rękę, że instynktowo z harmonii dla słuchu robi wnioski na harmonią dla oka i na harmonią dla sądu, i że podoba sobie w tém, co jest piękne, i w tém co jest dobre, a że razi go, jak piskliwy albo wrzaskliwy dyssonans tonu, co z ogólnéj harmonii piękna występuje, albo uczucie dobrego obraża. Tak kształci się gust i wola młodzieńcza. Poznał tę prawdę już Arystoteles i w polityce swojéj zaleca muzykę, jako najdzielniejszy środek moralnego wychowania.

Już w niemowlęcym wieku zaledwie dziecięciu narzędzia słuchu zostrzały i jakby nastroiły się na odbieranie głosu ze świata, już melodya, ton nawet pojedyńczy zwraca ciekawość dzieciny; zapomina, zaczém się właśnie kwiliło, upór niknie, łza w oku usycha, i śmieje się oczyma, i rączęta wyciąga. Bo w tém pierwociu życia, z tak delikatnych uwitego włókien, lada okoliczność, lada chwilka targa harmonią jego, ale toć za to lada ton mu ją wraca na powrót. Sama natura pouczyła tego matki i niańki, bo śpiewem koją rzewliwy płacz dzieciny, śpiewem kołyszą do równowagi uczucia, i sen słodki, sen anielski ogarnia duszę jego ukojoną.

Od szóstego roku, kiedy z ciałem i władze umysłowe podrosły, już i muzyka brzmi silniéj w duszy chłopca i dziewczęcia. Atoli ona mu jeszcze zabawką, bo cały świat mu zabawką, a w głębi serca śpią jeszcze utajone potęgi uczuć, co się dopiero w młodzieńczym wieku budzą. W tych latach niewinności lekkie, niewinne, proste podobają się melodye, bo i serce wtenczas jest takie. Uczeńsza muzyka, wyraz ognistego zapału, rwących się na przekor namiętności, wysokich uniesień, albo nieszczęśliwéj miłości; taka nie przystawa do uczuć tego wieku, on ich nie zrozumi, bo ich nie zaznał jeszcze, brzmieć będą duszy jego, jak brzmi nieumiejętnemu wytworna mowa mówcy, to jest brzmieć głosem samym, nie myślą, nie uczuciem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Domy i zatrudnienia Polaków w XV. i XVI. wieku.

Przez *W. A. Maciejowskiego.*

Zabawa z gościem w domu i za domem.

(Ciąg dalszy.)

4. *Goście u zagonowego szlachcica i u chłopa.*

a) Schadzka chłopska.

Panowie i szlachta odwiedzali się, kiedy ich do odwiedzin wzięła ochota, chłop odwiedzał chłopa w dni świąteczne, mianowicie też w czasie kiermaszu. Wtedy gospodarz był rad gościowi wykwintnemi potrawami, a do takich liczono miłosierdzie (mizeryą) z octem, tudzież wątrobę z czarną juchą (sosem), pieprzem dobrze zaprawioną. Gospodyni, mianowicie jeżeli dziewką będąc sługiwała po dworach, i nasłuchała się pomiędzy dworską czeladzią wiele melodyk, przyśpiewywała gościowi rozliczne piosenki, ubrawszy się w strój świąteczny. Zajadała sama dobrze, dobry przykład gościowi dając. Uraczywszy jadłem kmosia [1]), zapraszano go do karczmy, gdzie przyjaciel częstując przyjaciela, zapijał zarówno z nim i z żoną [2]). Na takowe przyjęcie gościa przysposabiał się gospodarz, uprzedawszy na kiermaszu zboża ile mógł: kazawszy obić (omłócić) dwie kopie (kopy) jarego żyta, owsa kopę, i grochu ze dwie kicie (snopki). I on bowiem trzymał się téj zasady, że cała roskosz człowieka tyle jest, co zażyje [3]).

[1]) Tą nazwą, nie chcąc po imieniu, nazywali się chłopi. [2]) Dosłownie z kiermaszu wieśniackiego wyjęto. [3]) Użyje, dosłownie z téjże broszury.

b) Gadki przy kądzieli, klechdy zagraniczne i krajowe.

Wieczory zimowe przepędzały zagonowe szlachcianki i chłopskie dziewki zbierając się na prządki, gdzie często w towarzystwie rzeskich pachołków

i niegdyś we wiejskiéj szkole mądrze wyuczonych starców, opowiadały sobie z kolei rozliczne gadki, albo opowiadanych słuchiwały. Tam to dziwaczne, przez pielgrzymów do Polski przyniesione, albo przez mnichów utworzone, powtarzano klechdy: »jak na górze wysokiéj stała chatka, a w niéj mieszkał mędrzec. Gdy się tam drapał młodzieniec, zaskoczył mu drogę lew, ale mu nic nie zrobił; daléj zaszła mu drogę jaszczurka, ale i ta nie uszkodziła go: bo opatrzność i opieka mądrego starca czuwała nad młodzieńcem« [1]. Rozwodzono się nad tém: »jak tam gdzieś daleko mieszkają szkaradne poczwary, wyobrażające brzydkie występki, niecnoty i wady. A mianowicie: król pychy, łakomstwa i opilstwa, Warchoł król zwady, Darmopych hetman pychy, Sobiepan hetman łakomstwa, Żarłok hetman pijanic.« Króla pychy, łakomstwa i opilstwa, który był oraz królem rozterków, tak opisywano: »łeb jego jak u niedźwiedzia, a baranie rogi, zęby jak u wieprza, nogi jak u szkapy, ręce jak u żaby, skrzydła z jakiéjś błony jak u nietoperza, goły po pas, a na dole kosmaty jak niedźwiedź, po nim płaty wiszą jakby go psy oskubały, w jednéj ręce dzierzy miecz goły, a w drugiéj buławę« [2].

Bajano, mówi Górnicki [3], o dziewięsiłach czyli o dziewiesiołach, to jest o zielu czarodziejskiém [4]; opowiadano krążące o Twardowskim wieści, o wilkołakach i o strachach.

Słowiańskie duchy, podobnie jak lud sercem i duszą przywiązany do ojczyzny, nie latywały wysoko jak giermańskie widziadła, lecz tuż unosiły się po nad powierzchnią, zawsze będąc blisko ziemi. Wszakże gmin nasz w XV. i XVI. wieku o tyle odstąpił od wyobrażeń dawnych, że gdy mówił o latających na powietrzu duchach, mieścił ich tuż pod niebem [5].

Pobożni ludzie rozpowiadali o tém, że na własne widzieli oczy, jak w zwaliskach gmachów i opustoszałych miejscach uwijali się djabełkowie, co ich latawcami zwano: i jak ci proste dusze, a o Bogu mało wiedzące, obłudnościami a chytrościami swemi odwodzili od wiary [6].

Dla umocnienia się w religii opowiadano sobie pobożne powiastki: o człowieku, który podróżował z aniołem, o Ś. Mikołaju, o ważnym cudzie, który się świeżo spełnił na jednym księciu litewskim. Powtórzmy je: »Raz człowiek podróżował z aniołem. Obadwaj idąc a idąc przybyli na skałę, gdzie mieszkał świątobliwy pustelnik, u którego przenocowali. Wywdzięczając się gospodarzowi anioł zą dobre przyjęcie, zrzucił go ze skały i zabił. Szli daléj i przybyli do wsi, gdzie mieszkało dwóch panów, jeden dobry, drugi zły. Wstąpili do mieszkania pierwszego, który ich dobrze przyjął i częstował napojem, nalawszy go w ulubiony sobie srebrny kufel. Gdy odchodzili, ów dobry pan dał im za przewodnika synka swego. Aliści, gdy nadeszli nad most, anioł porwawszy chłopca, zrzucił go z mostu i zabił. Weszli potém do domu owego drugiego złego pana, lecz ten wyszczuł ich psami. Odchodząc spotkali jego sługę, którego zawoławszy do siebie anioł, udarował owym srebrnym kuflem, gdyż odchodząc od dobrego pana, wziął mu go był, wetknąwszy w zanadrze. To wszystko rozważając ów podróżujący z aniołem człowiek, okazał mu w tém swoje zadziwienie, a ten wytłumaczył mu rzecz całą w sposób następujący: nie bój się bracie, bo wszystko zrobiło się dobrze. Zabiłem owego pustelnika, bo miał właśnie popaść w grzech: teraz stanął czysty przed Bogiem. Ów dobry pan, zbierając majątek dla synaczka swego, wiele broił grzechów potajemnie, swój kufel więcéj nad Boga kochał. Należało więc uprzątnąć obiedwie te zawady, ażeby nadal postępując sobie cnotliwie, uchronił się od grzechu. Przeciwnie ów zły, chociaż się niegodziwym człowiekiem być zdaje, przecież jest prawdziwym Boga czcicielem. Wynagrodziłem mu za to, doczesnemi sługę jego obsypując darami. Sługa nie zatrzyma tego daru dla siebie, lecz mu go odda, bo się bardzo boi pana« [7].

Powieść ta dziwną jest mieszaniną staro-pogańskich i żydowsko-talmudowych bajek, które mnich jakiś, przerobiwzzy po swojemu, puścił w obieg.

Potrzebował raz człowiek ubogi złota, na wyposażenie trzech poczciwych córeczek, których się była już już malusienko niejęła światowa rozpusta. Opatrzność boska obmyśliła go złotem. Ta przez ręce Mikołaja Ś. wrzuciła mu trzy kawalce tego kruszcu, którym ojciec ratował panienki, że przy poczciwości swojéj i dostojeństwie zostały [8].

[1]) Rej, Wiz. 109. [2]) Rej, Żyw. 166. 169. [3]) Rozm. str. 7. [4]) Jego liściom wielką przyznaje moc Ciachowski, radząc używać go za lekarstwo. [5]) Wyobrażenia te wystawił Daniecki w przypisaniu żałosnych narzekań korony polskiéj. [6]) Reja Apokalips, 148. [7]) Rej, Wiz. 131. 132. Żyw. 174. [8]) Mijakowski w kazaniu; kokosz.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Król holenderski złożył koronę i udał się na spoczynek z majątkiem wynoszącym 168 milionów

franków. Ponieważ lat 25 panował, oszczędził przeto rocznie 7 milionów. Wiele Krystyna królowa hiszpańska oszczędziła, niewiadomo, ale i jéj majątek ma być ogromny.

Książę Joinville wraca ze zwłokami Napoleona i spodziewają się go we Francyi w Listopadzie lub Grudniu.

Podoficerowie w piechocie francuzkiéj mają otrzymać dubeltówki, robione w fabryce w Saint Etienne podług nowego wzoru.

Najnowsza opera Skribego i Halevy, któréj próby rospoczęły się, jest pod tytułem »Il Guittarizo« — wiele po niéj spodziewają się. Inna opera „zakochany Diabeł", narobiła w Paryżu wielkiéj wrzawy.

Sława i pieniądze za małe poema. Sława angielskiego poety Campbella polega głównie na poemacie »roskosze nadziei«, liczącém 920 wierszy lub 9200 syllab, jak tam ktoś obrachował. Poema to wiele mu sławy zjednało, wiele pieniędzy i pensyą 2000 tal. Pensyą tę pobierał przez lat 37, tak że teraz wynosi 74,000 tal., a doliczywszy do tego 15,000 tal. zapłaconych mu przez księgarza, czyni w ogóle 89,000 talarów za poema, może najdrożéj w świecie zapłacone.

Z Saint Hubert w Belgii donoszą: W naszéj małéj mieścinie o niczém inném nie rozmawiają, jak o wielkiém polowaniu, które ma się odbyć w lasach naszych. Baron d'Hogvorst, senator Duval de Beaulieu, półkownik Capiaumont i ze dwudziestu miłośników polowania chcą wydać małą wojnę zwierzynie. Wiele dam dołączy się do tego towarzystwa. Polowanie zacznie się od 9. Listopada i potrwa dni czternaście; msza odbędzie się na początku w kościele świętego Huberta, patrona strzelców.

Adwokat Parquins, jeden z tych co z Ludwikiem Napoleonem napadli na Boulogne, tak począł obronę swoją: w r. 1812. odbywał Cesarz przegląd wojska, młody porucznik od kawaleryi stawa przed czołem półku. Cesarz kilka razy przeszedl obok niego, a zawsze bystro na niego spojrzał, nareszcie porucznik nabrał serca i rzekł: Naj. Panie, mam lat 26, służyłem lat 11, jedenaście kompanii odbyłem, dwanaście ran otrzymałem, należy mi się krzyż, żądam go. — Słusznie, odrzekł Cesarz, nikt mi też dłużéj pożyczać niepowinien. Potém swój krzyż przypiął młodemu porucznikowi. Tym młodym porucznikiem byłem ja Karól Parquin.

Szczególniejsze uprzedzenie murzynów. Pewne plemie murzynów na wyspie Kubie dzieli to przekonanie, że kiedy się który z nich powiesi, wraca do swojéj ziemi rodzinnéj i do swoich krewnych. Dla tego niewolnicy z tego plemienia zostają pod szczególniejszą strażą, bo inaczéj wielu z nich odbiera sobie życie, a na ten cel ubiera we wszystkie rzeczy jakich dostać może, aby jak najwięcéj do domu ze sobą przynieść. Na przechadzce, mówi pewien podróżny, widzieliśmy takiego murzyna uwieszonego u cyprysu, miał na sobie pięć kamizelek, cztery pary pantalonów, trzy surduty i t. d.

Kobiety tureckie. Upowszechnioném to jest mniemaniem, mówi jeden Anglik, który długo żył w Turcyi, iż Turcy po kilka żon mają, ale rzecz ma się inaczéj. Prawda że Koran dozwala Sułtanowi mieć siedem żon, a innym Muzułmanom cztery, ale mało znaleść można teraz Turków, którzyby mieli więcéj nad jednę żonę. Bey pewien zaręczał mi, że wyjąwszy Sułtana i trzech lub czterech najbogatszych Baszów w Konstantynopołu, zaledwie pięciu znajdzie Turków, którzyby więcéj nad jednę żonę mieli. Raz zapytałem starego Effendego, ile ma żon, on mi odpowiedział, — tylko jednę. Na moją uwagę, że prawie tyle kosztuje jedna co cztery w jednym domu, odpowiedział: być może że cztery angielki żyć mogą w jednym domu ze sobą spokojnie, ale nasze tureckie kobiety muszą mieć osobne domy i każdy mężczyzna chcący mieć kilka żon, tyleż powinien zaprowadzić nowych gospodarstw. Innym razem poznałem Effendego, któremu sprzykrzyła się żona, przedał ją, a za te pieniądze kupił dwie murzynki.

Szczególniejszy powód do samobójstwa. Wypaczone tłumaczenie pisma Św. nie raz przywiodło bogobojnych ludzi o odebranie sobie życia. Pewien Gillet np. powiesił się w 75 roku życia i napisał na karteczce: Jezus Chrystus powiedział, że stare drzewo nierodzące owocu powinno być ścięte. — Dr. Burrows miał pewnego szlachcica do leczenia. Temu zdawało się, że powinien naśladować post Chrystusa na puszczy, nic przeto niejadał przez trzy tygodnie, tylko cokolwiek jagód i wody. To go tak wycieńczyło, iż w kilka dni potém umarł.

Nowe kongrewskie rakiety. Szkoła artyleryi w la Fere robiła niedawno temu dość ważne doświadczenia. Wiadomo powszechnie iż jenerał angielski Congrève, wynalazł owe rakiety wojenne, których używają do palenia budynków lub do rozbijania piechoty a szczególniéj kawaleryi. Rząd francuzki przyjął w służbę anglika nazwiskiem Brifort w roku 1827. który pod kierunkiem jenerała Congrève pracował, a szkoła politechniczna w Metz pod jego dozorem tego rodzaju rakiety udoskonaliła.

Teraz robiono porównawcze doświadczenia między zwyczajnemi i nowemi francuzkiemi rakietami kongrewskiemi, które całkiem na korzyść ostatnich wypadły. Francuzkie rakiety niosą daleko daléj i pewniéj i więcéj czynią podskoków, palą nadto prędzéj i szkodliwiéj.

W Lugdunie stracił pewien agent bankowy 2,500,000 fr. w skutek spadania papierów.

MODY. — Paryż, dnia 19. Listopada 1840. Na rano niemasz nic piękniejszego do ubrania, nad ciemno-niebieski merynos, kitajką szkocką lub pomarańczową podszyty. Wyrabiają też piękne ubiory na rano z przedniéj flaneli przerabianéj, bez nicy lub z brunatnéj alpagi, podbitéj jedwabiem różowym lub niebieskim, osadzonéj brunatnym lub różowym aksamitem na około, jako też u rękawów i wielkiéj peleryny. Pod temi rannemi ubiorami noszą suknie z białego jaconas z szeroką falbaną rulkami przerywaną i rękawy obszerne, które także rulkami małemi osadzają, nadto mały czworokątny kołnierzyk umocowany na dwa guziczki.

W godzinach poobiednich widać najwięcéj szlafroczków jedwabnych poczęści przerabianych, w pasy, kraty lub łańcuszki, lub też w małe wzory, nazywają je fantazyjnemi. Nie są drogie i osadzają je trzema rzędami guzików z przodu po powłoce lub też staniku.

Rękawy obcisłe stają się powszechniejszemi, i tu wspomnieć musimy, że są o dwóch szwach, tak zwane amadis. Tymczasem zaniechanie rękawów buchastych nie jest tak bezwzględne. Jeszcze je noszą i pięknie wyglądają. Za ustrój dodają do nich szmuklerskie ozdoby; guziki nie równe, u kibici maleńkie, z tąd ku dołowi zwiększają się po powłoce, która jest gładka i bez falbany.

Białe z przodu otwarte suknie krepowe, z pod których znaczną część widać sukni spodniéj, są na sposób tunik izraelskich długich robione i u dołu na okół koronką w bufki osadzone, a w pewnych oddaleniach ujęte w rószczkę koralową. Stanik bardzo sztywny; krótkie rękawy bufkowe, wystrojone koralami, u góry stanik zmarszczany bardzo regularnie.

Strój na głowę, naszyjniki i naramiennice do tego ubioru wieczornego są także z koralów. Z tyłu na ramiona opadają dwa sploty włosów, które wracają napowrót do kosy.

Ranne suknie często bywają szare z szeroką falbaną.

Staniki tych sukien otwierają się w kształt serca, rękawy z lekka przystające zdobne są trzema bufkami między ramieniem a łokciem ręki.

Do tych sukien lilijowo-szarych stósuje się czepeczek tegoż koloru, jasno-zielono podszyty.

Kapelusze aksamitne i kapelusze na przechadzki są powiększéj części piórami lub kwiatami strojne, koloru kapelusza. Kapelusz atłasowy słomianego, różowego lub białego koloru, zdobny słaniającém się marabutem, daleko strojniéj wygląda niż kapelusz aksamitny. Zasłony i półzasłony zawsze uchodzą za ozdobę kapeluszy. Obwody są większe u zimowych niż były u latowych kapeluszy.

Może niejedna z dam słyszała o przepychu sukien swych prababek, były to pekiny chińskim tuszem i złotem malowane i nadzwyczaj drogie. Dziś są one tańsze a daleko piękniejsze. Wystawić sobie należy tło białe, na którém liście i kwiecie we wszystkich odcieniach tak delikatnie malowane, iż purpura przewyższa najpiękniejsze kamelie, kolor niebieski najśliczniejsze błękity, a kolor żółty przypomina aksamitne listki wdówek w ogrodach. Do tego dodaj poroby złote i srebrne, które się wiją świetnym wątkiem śród tych liści i kwiatów, a przyznasz, iż coś piękniejszego z tkanin dotąd nie wymyślono. Tkaniny te osadzają częścią koronkami alensońskiemi, częścią koronkami złocistemi.

Objaśnienie ryciny.

4. Gładki kapelusz atłasowy, z słaniającém się na bok piórem. Suknia w pasy z długą falbaną. Szal atłasowy, kolorowo podszyty i osadzony długą frężlą.
2. Kapelusz jedwabny strojny kwieciem. Krótki płaszczyk grosdenaplowy, z przodu w okrąg krojony i na około bramowany i falbaną osadzony. Zamiast kapturka, okrągły kołnierz zachodzący za ramiona, równie bramowany i falbaną otoczony. Wiązadła z téj saméj tkaniny.
3) Czepeczek blondynowy z koronką, zdobny różyczkami i wstążką szeroką. Suknia aksamitna, stanik wycięty kończato i rękawy obcisłe. Stanik i rękawy szmuklerską wystrojone robotą. Szal koronkowy.
4) Ubiór mezki. Surdut z ciepłéj tkaniny, z maleńkim kołnierzem aksamitnym, wielkiemi kieszeniami na boku, guziki na jeden rząd aż do dołu. Pantalony jasne. Krawat w kwiecie. Kołnierzyk wywinięty.

Redaktor: *N. Kamieński.* **Czcionkami** *W. Deckera i Spółki.*



L. Brüchner. sc.

47.